



# 1 PODRÓŻ

## **W PIĘŚCIACH MI PULSOWAŁO.**

*Łup, łup.*

To była jakaś opowieść.

*Łup, łup.*

Wszystkim się zdawało, że znają tę historię. Już to widzieli. „Przejdzie mu. To normalne. Trzeba dać mu czas”. Ale znali tylko wyrywki. Nie chcieli usłyszeć wszystkiego.

Ojej, naprawdę?

Hmm.

A gdybym wam powiedział, że wdałem się w wojnę o świecący dziennik mojego zmarłego przyjaciela? Albo że walczyłem z potworami wielkimi i małymi, używając mocy, o które się w ogóle nie podejrzewałem; z bogami, o których istnieniu nie miałem pojęcia? Czy ktoś by mi

uwierzył? Nie, pewnie, że nie. Macie własne problemy. Nie chcecie słyszeć o moich, prawda?

A jednak? W takim razie muszę was ostrzec, że czeka was jazda bez trzymanki, więc zapnijcie pasy.

Będę z wami szczerzy i mam nadzieję, że mogę liczyć na to samo.

– Tristan! Już są!

*Eup.*

Krzyk mamy wyrwał mnie z zamyślenia. Przestałem boksować w mały worek treningowy, który tata powiesił mi w pokoju, i zębami poluzowałem sznurki w rękawicach. Rzuciłem rękawice na łóżko i sam padłem obok nich. Na małym biurku w kącie pokoju leżał dziennik Eddiego. Wciąż emanował światłem. Jeszcze go nie otworzyłem, odkąd jego mama dała mi go po pogrzebie, dwa tygodnie temu.

Mój pokój był tak mały, że wystarczyło wyciągnąć rękę, żeby dosięgnąć tego skórzanego zeszytu, ale wtedy musiałbym się z nim zmierzyć, a kto chce z własnego wyboru mierzyć się z tym, co trudne?

*Phi.* Nie ja.

– Tristanie Strong! – krzyknął tata z korytarza.

Nienawidziłem tego nazwiska.

Czułem się z nim, jakbym udawał kogoś, kim nie jestem. Powinno się mnie nazywać Tristan Tchórz albo Tristan Porazka. Może Tristan Jak-Mogłeś-Przegrać-Pierwszą-Walkę. Jakkolwiek, tylko nie Tristan Strong.

Usłyszałem kroki mamy w naszym maleńkim mieszkaniu, a po chwili delikatne pukanie do drzwi.

– Tristan, kochanie, słyszałeś?

Odchrząknąłem.

– Tak. Już idę.

Drzwi się otworzyły i mama wsunęła głowę do środka. Wciąż miała na sobie podkoszulek z napisem: „DRUŻYNA SIŁACZA” z poprzedniego wieczoru. Chyba nikt z nas nie spał dobrze po powrocie z mojego debiutu. Ja opatrywałem zranioną dumę – jedyną rzecz, jaka ucierpiała. Mój mały fanklub – tata, mama i dziadkowie ze strony taty – próbował mnie wczoraj pocieszać, ale widziałem rozczarowanie w ich oczach, więc udałem, że jestem bardzo śpiący, i poszedłem się położyć, podczas gdy oni jeszcze długo szeptem dyskutowali. Teraz nastał już świt, czas zacząć spektakl od nowa.

Wzrok mamy przesunął się po bałaganie w moim pokoju i zatrzymał na mojej twarzy. Zmrużyła oczy. W dwóch krokach podeszła do mnie – mijając nietkniętą wczorajszą kolację – i usiadła na łóżku.

– To tylko na miesiąc – powiedziała, nawet nie udając, że nie wie, o co mi chodzi.

– Wiem.

– Dobrze ci zrobi, jak się oderwiesz.

– Wiem.

Poczochnęła mnie po głowie i przytuliła.

– Twój psycholog mówił, że zmiana otoczenia to dobry pomysł. Świeże powietrze, praca na farmie. Kto wie, może odkryjesz, że jesteś stworzony do życia na wsi.

Wzruszyłem ramionami. Jedyne, czego byłem pewien, to tego, że nie jestem stworzony do boksu, wbrew temu, co sądzili tata i dziadek.

Wysunąłem się z objęć mamy, wstałem, wziąłem torbę i ruszyłem do drzwi, by zacząć swoje miesięczne wygnanie.

– Nie zapomniałeś czegoś? – zapytała mama.

Obróciłem się i zobaczyłem, że podaje mi dziennik Eddiego. Jej dłoń i nadgarstek były zalane szmaragdowozielonkawym blaskiem okładki. Ale jak każdy, komu pokazywałem ten zeszyt wcześniej, ona nie widziała żadnego dziwnego światła.

Moje zmarszczenie brwi, kiedy wsuwała brulion do torby, wzięła za przejaw niepokoju.

– Chciał, żeby to było u ciebie. Wiem, że to trudne, ale... może uda ci się przeczytać w wolnej chwili?

Nie wiedziałem, czy głos mnie nie zawiedzie, skinąłem więc głową i pomaszerowałem do wyjścia.

Decyzja o zawiezieniu mnie na farmę dziadków w Alabamie została podjęta bez mojego udziału. Typowe. Rodzice już wcześniej rozmawiali o tym kilka razy, ale po śmierci Eddiego i mojej trzeciej bójce w szkole w ostatnich dwóch tygodniach przed wakacjami... hm, chyba nadszedł czas.

W tych bójkach przynajmniej byłem górą. Nie tak jak wczoraj na ringu.

Takie już moje szczęście, że na walce akurat był dziadek i widział moje upokorzenie.

– Jesteś o trzy i pół kilograma cięższy od niego! – powiedział zaraz po walce tym swoim chrapliwym głosem.  
– Cofnąłeś dzieje rodziny o całą dekadę.

Oto ja – Tristan Rozczarowanie.

Syn Alvina „Kuli Burzącej”, najlepszego boksera wagi średniej, jakiego wydało Chicago od niemal dwudziestu lat. Miałem wzrost taty i podbródek dziadka, więc bokowanie powinienem mieć w genach. Walczyłem w starych spodenkach dziadka, wspierany przez ojca stojącego w moim narożniku. Moja pierwsza walka miała być kolejnym krokiem naprzód w dziejach rodu Strongów.

Zamiast tego zostałem rozłożony na obie łopatki. I to dwa razy. Tata powiedział tylko: „Dorwiesz go następnym razem”, ale wiedziałem, że jest zawiedziony.

A to bolało niemal tak samo jak przegrana.

Kiedy wyszedłem z bloku z plecakiem przewieszonym przez ramię i torbą w rękę, uderzyła we mnie fala gorąca i wilgoci, jak przystało na upał początku lata. W oddali zbierały się gęste, szare chmury, które natychmiast dodałem do mojej listy wcale-nie-złowieszczych zjawisk. Świecący pamiętnik? Co tam. Burza na horyzoncie? Normalka.

Tata i dziadek stali na krawężniku, a Nana (nikt nigdy nie nazywał jej babcią, a już na pewno gdy chciał dostać jedzenie) w samochodzie robiła na drutach. Tata był wyższy od swojego ojca, ale widać było podobieństwo między nimi. Mocno brązowa skóra jak moja, szeroka szczęka, dumna postawa ciała. Na szczęście włosy odziedziczyłem

po mamie, bo obaj Strongowie mieli identyczne łysiny wy-  
zieraające spośród krótkich kędzierzawych czupryn.

– Trzeba mu znaleźć robotę w polu, niech zajmie się  
pracą – mówił dziadek. – To go od razu postawi na nogi.

Tata wzruszył ramionami. Milczał. Właściwie mało  
kto zabierał głos w obecności dziadka. Ten staruszek po-  
trafił gadać jak najęty.

Nana zobaczyła, jak schodzę po schodach, odłożyła ro-  
bótkę i wyszła z auta.

– Jest! Jak się dzisiaj masz, kochanie? Bardzo jesteś  
poobijany?

Uścisnęła mnie tak, że nie mogłem odpowiedzieć, a po-  
tem syknęła na dziadka:

– Walter, weź torbę chłopca. Alvin – zwróciła się do ta-  
ty – musimy ruszać, zanim ta burza się zacznie.

Dziadek obrzucił mnie wzrokiem.

– Czy wy, młodzi, nie nosicie nic innego?

Spojrzałem w dół. Czarne conversey z rozwiązanymi sza-  
rymi sznurówkami. Luźne spodenki khaki i jeszcze luź-  
niejsza szara bluza z kapturem. Ta bluza była ze mną wszę-  
dzie – na plecach miała czarny napięty biceps. Możecie  
mnie uznać za sentymentalnego, ale zawsze się tak ubiera-  
łem, kiedy włóczyliśmy się z Eddiem. Nazywał te ciuchy  
„mundurem Tristana Stronga”, idealnym na każdą okazję.

A więc owszem, często chodzę tak ubrany.

Nana uciszyła dziadka i jeszcze raz mnie uściskała.

– Nie słuchaj go, Tristianie. Już się nie mogę doczekać,  
kiedy będziemy na farmie. Ostatnim razem byłeś malut-  
ki, ale tak ganiałeś za kurczakami, że wciąż cię pamiętają.

Zapakowałam drugie śniadanie i nawet przygotowałam sobie kilka powieści na drogę...

Tak więc klepięcie taty w ramię, uścisk mamy i już byłam na cały miesiąc ciężarem dla kogoś innego. Żegnaj, Chicago z kablówką, internetem, zasięgiem komórek. Bywajcie!

Podczas dwunastogodzinnej podróży do Alabamy jedno stało się jasne – nigdy więcej tego nie zrobię.

Nigdy więcej.

Przebywanie w zamkniętej przestrzeni z dziadkiem było jak ocieranie łez papierem ściernym. Bolesne, wręcz nie do zniesienia – aż człowiek się zastanawiał, jak mógł chociaż przez chwilę uznać to za dobry pomysł.

Myślicie, że przesadzam?

Dziesięć minut po odjeździe:

– Kiedy ja byłem w twoim wieku, miałem już stałą pracę i za sobą dwie walki o tytuł.

Trzy godziny po odjeździe:

– Co, znowu jesteś głodny? Wziąłeś ze sobą jakieś pieniądze na przekąski?

Sześć godzin po odjeździe:

– Rany, nie powinienem był jeść na śniadanie tej wczorajszej fasoli.

Osiem godzin po odjeździe:

– Nie wierzę, że przebyłem taką drogę po to, żeby zobaczyć Stronga w tak kiepskiej formie. Masz to pewnie po rodzinie ze strony babci. Żaden ze Strongów nigdy nie prezentował się w taki sposób na ringu. Pamiętam, jak...

No, chyba wicie, o co mi chodzi.

Zanim przekroczyliśmy granicę stanu Alabama, byłem gotów gryźć sobie palce do krwi. Nie wiem, jak Nana mogła siedzieć spokojnie, nucić pod nosem i dziergać, ale to właśnie robiła. Cadillac toczył się dwupasmówką, wzbijając chmury pyłu i spalin, niczym rakieta pędząca przez czas z przeszłości do krainy bez wi-fi.

Jeszcze gdzieś w Kentucky wetknąłem słuchawki do uszu, ale potem padła mi bateria w telefonie. Nie wyjąłem słuchawek, żeby mieć spokój. Nana robiła na drutach na siedzeniu obok kierowcy, a dziadek stukał palcem w kierownicę, nucąc jakąś piosenkę. Było dość spokojnie, jeśli nie liczyć jednej rzeczy...

Na siedzeniu obok mnie leżał pamiętnik Eddiego.

Mógłbym przysiąc, że wcisnąłem go do torby, pod ubrania. A torbę dziadek włożył do bagażnika. Jednak był tutaj i czekał, aż zrobię to, co odkładałem od pogrzebu. W popołudniowym słońcu, które raz po raz wyzierało zza burzowych chmur, pamiętnik wyglądał normalnie, jak zwykły zeszyt. Ale kiedy osłaniałem go dłońmi i zaglądałem z zapartym tchem – tak, ciągle świecił.

„Czemu go nie otworzysz i nie zajrzysz do środka?” – moglibyście zapytać.

Wierzcie mi, to nie takie proste. Przed śmiercią Eddiego skórzana okładka jego pamiętnika była gładka. Teraz pojawił się na niej dziwaczny symbol, jakby słońce z promieniami rozchodzącymi się w nieskończoność albo kwiatek z długimi płatkami. Ten sam symbol był wytłoczony na drewnianym wisiorze przyczepionym do sznurka



połączonego z grzbietem zeszytu. Widziałem już tę taśmę – Eddie używał jej jako zakładki albo do smagania mnie po głowie – ale wisior był czymś nowym.

Co jeszcze dziwniejsze, breloczek migotał tym samym zielonym światłem co okładka. Wpatrywałem się w ten brulion codziennie przez wiele minut, ale jego blask zawsze powstrzymywał mnie przed otwarciem.

Zresztą i tak wiedziałem, co tam jest. Opowieści, które Eddie notował swoimi koślawymi kulfonami; zapisane jego własnymi słowami historie, które opowiadała nam Nana, kiedy nas odwiedzała, gdy byliśmy mniejsi. John Henry, Pająk Anansi, przygody Brata Królika – przeczytałem je wszystkie. To był nasz projekt semestralny z angielskiego – zbiór opowieści z naszego dzieciństwa. Eddie pisał, a ja miałem zaprezentować to ustnie. I wtedy zdarzył się ten wypadek. Psycholog, do którego mama zaprowadzała mnie w każdą środę, powiedział, że powinienem spróbować dokończyć pisemną część projektu, chociaż były już wakacje. To miało działać terapeutycznie, no wiecie, takie tam.

(Zanim powiecie coś, czego możecie żałować, dodam, że pan Richardson jest w porządku. Podczas rozmów gramy w Maddena i mogę się skupić na zdobywaniu punktów dla jego Orłów, przez co nie czuję się głupio, odpowiadając na pytania. To pomaga... trochę. Kiedy jest mi za ciężko, potrafi się wycofać. Zachowajcie więc swoje uwagi o „wrażliwości” i „harcie ducha” dla siebie. Barany).

Żeby nie myśleć o tym nawiedzonym pamiętniku, wyglądałem przez okno. Chmury się nie rozstępowały, nawet

gdy już wjechaliśmy w Głębokie Południe. Zmieniło się tylko to, że teraz zamiast błyskawic strzelały w nas wielkie krople deszczu, które rozpryskiwały się na szybie niczym tłuste robaki. Wszystko wokół było ponure, co dość dobrze oddawało mój stan ducha.

Wyjąłem z uszu słuchawki i westchnąłem. Nana usłyszała to i obróciła się w moją stronę.

– Jesteś głodny? – zapytała.

– Nie.

– Nie, *proszę babci* – dobiegł głos dziadka z fotela kierowcy. – Do babci masz się zwracać z szacunkiem, rozumiesz?

– Tak.

Dziadek wbił wzrok w lusterko, by posłać mi znaczące spojrzenie.

– To znaczy tak, *proszę dziadka*.

Przyglądał mi się jeszcze chwilę, po czym wrócił do obserwowania drogi.

– No cóż – Nana odwróciła się i ponownie zajęła robótką – niezależnie od tego, co powiedział dziadek – tu posłała mu groźne spojrzenie – daj znać, kiedy zgłodniejesz. Twoja mama mówiła, że nie jesz zbyt wiele, więc musimy to zmienić. I podobno masz coś do napisania. Twój psycholog chce, żebyś się na tym skupił.

– Chłopak nie potrzebuje żadnych psychologów – burknął dziadek. – Potrzebuje zajęcia. Nie będzie miał czasu na uzalanie się, jak trzeba będzie nakarmić konie i naprawić płot.

– Walter! – zganiała go Nana. – Jemu potrzeba...

– Wiem, czego mu trzeba...

Pokręciłem głową i przestałem zwracać na nich uwagę. Po całym dniu w samochodzie w towarzystwie dziadków już dobrze znałem ich zachowania. Sprzecjali się, śmiali, śpiewali, znowu się sprzecjali i robili na drutach. No, Nana robiła. Ale byli jak dwie strony tej samej starej monety.

Dla dziadka wszystko sprowadzało się do pracy. Praca, praca, praca.

Nudzisz się? Zrób to.

Skończyłeś? Zrób jeszcze to.

Chcesz z kimś pogadać? Oczywiście to znaczy, że za mało pracowałeś, więc wiesz co? Zrób jeszcze trochę.

Nana za to śpiewała i nuciła, kiedy nie rozmawiała, co było rzadkością, bo zawsze miała jakąś opowieść na podorzędu: „Wiesz, dlaczego sowa nie może spać?” – mówiła i ciągnęła historyjkę, a człowiek siedział i słuchał, na początku z uprzejmości, a pod koniec już zżerany ciekawością.

Uśmiechnąłem się. Eddie uwielbiał słuchać mojej babci. Kiedy przyjechała do nas w tym roku, praktycznie nie odstępował jej na krok, chodził za nią ze swoim dziennikiem w ręku.

*À propos...*

Położyłem lewą dłoń na skórzanej okładce i przesunąłem palcem po wytłoczonym symbolu.

– Co to jest, kochanie?

Podniosłem wzrok i zobaczyłem Nanę spoglądającą do tyłu ponad fotelem.

– Hm? To znaczy... y... tak, proszę babci?

Dziadek kiwnął głową i odetchnął z ulgą.

Nana uśmiechnęła się.

– Czy to na to twoje pisanie?

Zawahałem się.

– Tak, proszę babci. – Podniosłem zeszyt, żeby jej pokazać. Na widok symbolu na okładce jej oczy rozszerzyły się.

– Skąd to masz? – zapytała. Dziadek obrócił się, by spojrzeć, o czym mowa, ale Nana zasłoniła mu widok ręką. – Patrz na drogę.

– Od Eddiego... – zacząłem i zaraz urwałem. – To znaczy od jego mamy. To jest... było nasze. Pisaliśmy to do szkoły. A co? Coś nie tak?

Czyżby dostrzegła to co ja? Czy zobaczyła, że zeszyt błyszczy nawet w słońcu?

Nana zacisnęła wargi.

– Ten symbol. Dawno go nie widziałam.

– Wie babcia, co to jest?

– No... – Spojrzała na dziadka, który przestał nas słuchać, kiedy tylko zaczęliśmy mówić o pisaniu. – To pajączyna, stary afrykański symbol kreatywności i mądrości. Pokazuje, jak poplątane i skomplikowane może być życie. I że z pomocą wyobraźni i twórczego myślenia możemy rozwiązać większość problemów własnych i cudzych.

– Czy widzi babcia jeszcze coś dziwnego w tym zeszycie? – spytałem.

Nana roześmiała się dźwięcznym, radosnym śmiechem, który zarażał wszystkich wokół.

– Czy to jakiś test?

– Nie, proszę babci.

– Nie widzę tu nic poza ociąganiem się. Śmiało, otwórz.  
– Tak, proszę babci. – Zmarszczyłem brwi. Czyli Nana widziała symbol, tę pajęczynę, ale nie widziała blasku. To wcale nie poprawiło mi humoru.

Dziadek uderzył w kierownicę.

– Wszyscy musicie przestać nabijać mu głowę tymi bajkami o symbolach. On musi twardo stąpać po ziemi. Niech się lepiej zastanowi, co zrobił źle wczoraj wieczorem. Chłopak musi się skupić! Sukcesy w boksie nie przychodzą same... Potrzebny jest trening ciała i umysłu.

– Dziadku, ja nie chcę...

– Nie będę tego słuchał. Nie jesteś już dzieckiem. Jesteś Strongiem, a...

– Walterze – przerwała mu Nana – nie bądź dla niego taki surowy.

– On potrzebuje twardej ręki... Wszyscy jesteście dla niego zbyt łagodni.

– Słuchaj... – Nana zaczęła szeptem pouczać dziadka, który kręcił głową i mruczał coś pod nosem.

Rozparłem się na siedzeniu i próbowałem odciąć się od tej kłótni. Przesuwałem kciukiem po okładce i zanim mój mózg zdążył się sprzeciwić, położyłem sobie dziennik na kolanach i otworzyłem na przypadkowej stronie. Co z tego, że świecił? Był to nadal zeszyt, a czytanie wydało mi się w tym momencie lepsze od wysłuchiwania narzekania dziadka udających życiowe mądrości. I od zastanawiania się nad tamtym wypadkiem.

Naprawdę, co złego mogło się zdarzyć?